

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.  
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 100.000 mk.

1/2 " — 50 000 "  
1/4 " — 25.000 "  
1/8 " — 15.000 "

## Doraźny zysk.

Decyzja Konferencji Ambasadorów, uznająca obecne faktyczne granice Polski na wschodzie, a tem samem przynależność do państwa polskiego Galicji Wschodniej i Wileńszczyzny, została przyjęta przez opinię polską z takim uniesieniem, jakby ta uchwała gwarantowała również po wsze czasy nienaruszalność sankcjonowanego przez nią stanu posiadania. Dziękczynne nabożeństwa, parady wojskowe, uroczyste akademje były wyrazem tego radosnego nastroju, jaki ogarnął społeczeństwo polskie na wiadomość o pomyślnym wyniku zabiegów dyplomacji polskiej.

Niewątpliwie jest to znaczny sukces polityczny. Czemu go przypisać należy: czy zręczności dyplomatów polskich, czy błędom polityków litewskich, czy wzmożeniu się wpływów francuskich, czy zmianie zapatrywań Anglii na wytkniętą ongiś przez siebie t. zw. linię Curzona, czy przedewszystkiem deprecjacji walorów rosyjskich na giełdzie międzynarodowej — przyszłość to tylko wykaże. Zapewne odegrały tu rolę wszystkie te czynniki razem wzięte.

Nikt nie będzie kwestjonował doniosłości decyzji rządów czterech mocarstw, nadających obecnie ton polityce międzynarodowej. Przeceniać jej wszakże również nie należy. Wartość jej będzie trwała tak długo, jak długo będzie istniał wytworzony po wojnie wszechświatowej układ sił w Europie. A któż ośmieli się twierdzić, że obecna konstelacja, w której dwa największe narody europejskie: niemiecki i rosyjski są całkowicie usunięte od wpływu na politykę międzynarodową, ma zapewniony przed sobą długi żywot?

Wprawdzie przeważna część granicy wschodniej Polski opiera się nie tylko na aprobachie jej przez Ententę, ale również i na bezpośredniej umowie z zainteresowanym sąsiadem, lecz doświadczenie wykazuje jak kruchemi są wszelkie traktaty, wymuszane

przez stronę zwycięską, a nie wynikające z dobrowolnego i kompromisowego załatwienia spornych interesów. Traktat Ryski, o ile w opinii polskiej, z nielicznymi wyjątkami, cieszy się ogólnem uznaniem, o tyle w Rosji i to zarówno Sowieckiej jak jeszcze bardziej emigranckiej, jest uważany za *malum necessarium*, za oplakane prowizorium, za krzywdę i despekt, domagające się w sposobnej chwili — odwetu.

Granica z Litwą nie posiada nawet formalnej zgody drugiej zainteresowanej strony i prócz przewagi militarnej Polski oraz platonicznej decyzji Rady Ambasadorów nie ma innego zabezpieczenia.

Pomijając wszakże perespektywy nieuniknionych — w bliższej lub dalszej przyszłości — przeobrażeń na arenie międzynarodowej, są powody ważniejsze, które w umyśle każdego trzeźwego i rozważnego polityka muszą zamącić radość z powodu odniesionego przez dyplomację polską triumfu. Korzystając z pomyślnych konjunktur i rozporządzając odpowiednią siłą można oczywiście wykreślać na mapie granice dowolne i obsadzać je słupami i bagnetami, czego historia daje nam przykłady niejednokrotne. Ale historia również uczy, że wszelkie sztuczne podziały, oparte na kombinacjach politycznych, strategicznych, ekonomicznych, a nie liczące się z tendencjami rozwojowymi ludów i krajów, nie wytrzymały dłuższego czasu i znikają przy pierwszym podmuchu burzy dziejowej, jeżeli zaś zbyt długo trwały, gwałcąc rozwój naturalny rozczłonkowanego organizmu, wywoływały u niefortunnych operatorów objawy chorobliwe, a nierzadko i śmiertelne.

Nie ulega zaś wątpliwości, że granice wschodnie Polski nie są oparte ani na podstawach historycznych, ani geograficznych, ani etnograficznych. Są najzupełniej sztuczne i przypadkowe. Granica polsko-litewska biegnie obecną linią dlatego, że wojska gen. Żeligowskiego do niej doszły, granica pol-

sko-białoruska stała dlatego, że p. Dąbski miał sentyment do ziemi Nowogródzkiej, obojętnie zaś traktował Mińsk, granica polsko-ukraińska wynikała z konsekwencji granicy z Białorusią i t. d. Nikt nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego Orany i Mejszagola znalazły się po stronie polskiej, Olita zaś i Szyrwinty po stronie litewskiej, Sluck i Żytomierz po stronie sowieckiej, Słonim zaś i Łuck po stronie polskiej. Pokawałkowanie obszaru b. W. Ks. Litewskiego na trzy części — najzupełniej dowolne, mimo, iż przypięczone obecnie uchwałą czterech mocarstw europejskich i azjatyckich, stanowić będzie zawsze żywą ranę na Wschodzie Europy, której nie zagoją żadne dyplomatyczne plastry ani uleczą najbardziej radykalne amputacje militarne.

Aspiracje narodowe litewskie, białoruskie i ukraińskie, jakkolwiek dziś może jeszcze nie dość mocne, by interesowały rządy wielkomocarstwowe i niepokoiły rząd polski, z biegiem czasu będą się potęgować, nie osłabiać. Ciężenie ku sobie rozdartych części Litwy, Białorusi i Ukrainy będzie wzrastać, nie zanikać. To jedno już, nawet w wypadku przedłużającego się obezwładnienia Rosji i Niemiec, powinno by napęlić troską polityków polskich o dalszą przyszłość i obudzić refleksję, czy istotnie granice, zatwierdzone przez Radę Ambasadorów, można uważać za *wieczyste*, jak je określiło w upojeniu jedno z pism warszawskich?

Miłość własna narodu polskiego może się czuć mile polechtaną wobec uwzględnienia przez decydujące obecnie czynniki międzynarodowe dezyderatów polskich, ale same te dezyderaty bynajmniej powodu do radości nie dają...

## Fr. Alechnowicz.

### Teatr białoruski.

(Zarys historyczny).

#### III.

Podówczas w Petersburgu była dość liczna kolonia białoruska, składająca się przeważnie z młodzieży uniwersyteckiej. Tam również niebawem rozpoczęła się praca teatralna.

Repertuar ówczesny składa się z pomienionej już „Po rewizji” Kropiwnickiego, następnie z „Niedźwiedzia” i „Konkurów” Czechowa (z rosyjskiego), „Chama” Orzeszkowej (przeróbka z powieści) oraz „W zimowy wieczór” (też autorki). Ówczesnymi oryginalnymi twórcami scenicznymi są: „Paulinka” Kupały i „Modny Szlachetka” Kahańca.

Ukazanie się litografowanego egzemplarza „Paulinki” było wielkim wydarzeniem w białoruskim ruchu teatralnym. Pomimo wadliwości struktury dramatycznej i karykaturalności, typów „Paulinka” wstepnym bojem zdobywa sympatje publiczności, gdyż odpowiada wymogom tegoczesnym: jest rzeczą oryginalną białoruską, pokazuje nam życie drobnej szla-

## Problem Białorusi Zachodniej.

Głos poniższy, pochodzący ze sfery katolicko-białoruskich, jest wyrazem ciekawych prądów, nurtujących w społeczeństwie białoruskim. Z tego względu udzielamy mu gościny na łamach naszego pisma, nie przesądając wszakże słuszności jego wywodów, do czego nie jesteśmy powołani, nie biorąc czynnego udziału w ruchu narodowym białoruskim.

Obierając za przedmiot artykułu niniejszego temat powyższy, naszym zdaniem, niezwykle ważny i dotychczas nie poruszany,—starannie eliminujemy zeń kwestję państwowości. Równie dalecy chcemy tu być tak od jakichkolwiek rezygnacji, do których wcale nie czujemy się upoważnieni, jak też od wysuwania na plan pierwszy pretensyj, które nie zdają się mieć łączności zasadniczej z problemem Białorusi Zachodniej. Za rzecz całkiem zbędną uważaliśmy próbę wytyczenia doskonałej granicy między Białorusią Zachodnią a Wschodnią, jak również między Północną a Południową; zadanie powyższe ustępujemy geografom i etnografom.

Punktem wyjścia dla nas jest niezbity, bo oczywisty fakt, że Białoruś Zachodnia *istnieje*. Istnieje ona nie jako termin, fikcja i t. d., lecz jako pewien obszar ziemi i pewna ilość ludności go zamieszkującej. Mianem powyższem określamy obszar kraju, na którym mieszka lud używający mowy białoruskiej, jako swej przyrodzonej, i wyznający od wieków religję rzymsko-katolicką. Mamy na myśli powiaty, w całości lub częściowo: Augustowski, Sokółski, Grodzieński, Lidzki, Wołkowyski, Słonimski, Oszmiański, Wilejski, Nowogródzki, Dziśnieński, Braśławski, Białostocki, Bielski, Święciański, Trocki. Liczba rozsiadłej tu ludności białoruskiej stereotypowo szacowana bywa w przybliżeniu na 3 mil. osób, a więc prawie tyle, ile ma Litwa, więcej niż Łotwa i trzykroć tyle,

chty białoruskiej, jest obficie naszpikowana swojskimi śpiewami i tańcami. To też premiera (w Petersburgu) przez publiczność została powitana z entuzjazmem.

Treść sztuki jest następująca:

Bohaterka (Paulinka), córka szlachcica zaściankowego, kocha się nie bez wzajemności w nauczycielu ludowym. Pobranu się młodej pary staje na przeszkodzie rodzina, głównie zaś ojciec, który nie godzi się na mezaljans, gdyż wybraniec serca Paulinki jest chłopkiem dzieckiem i ponieważ upatrzył już na małżonka dla swej córki kogo innego: sąsiada Adolfa Bykowskiego. W akcie drugim autor wyprowadza na scenę tegoż Bykowskiego, którego charakteryzuje jako głuptasa i bezczelnego blagiera. Sztuka się kończy kompromitacją niefortunnego zalotnika, który po wieczornym usiłuje zwabić swą pannę tajemnie do ogrodu, oraz wiadomością o zaarrestowaniu nauczyciela ludowego, zdobywcy serca Paulinki. Tę ostatnią wiadomość Paulinka przyjmuje wybuchem hysterji, obecny zaś przy tem m. in. jeden z sąsiadów radzi celem doprowadzenia jej do równowagi duchowej pokropić wódką z butelki, którą nieodstępnie nosi przy sobie w zanadrzu.

Zasłona spada.

Jak widać z powyższego streszczenia, fabuła

co Estonja! Obec tego zdawać by się mogło, że Białoruś Zachodnia ważyć coś będzie i *in se* i jako znaczna część całości Białorusi od Augustowa po Smoleńsk. Tymczasem niespełna dwa lata nas dzieli od dwudziestolecia początków odrodzenia narodu białoruskiego (1905), Białoruś zaś Zachodnia nie przestaje wciąż być wielkością martwą, prawie bez znaczenia i wpływu w całokształcie problemu białoruskiego.

Gdzie szukać przyczyn tego? W rzeczach czy ludziach? Dlaczego ludzie nie przeciwstawiali się wręcz nienormalnemu stanowi rzeczy, jaki powoli się wytworzył na Białorusi Zachodniej!? Trudno wszystkich ich posądzać o krótkowidztwo lub nieświadomość, wprost karygodną w umyśle człowieka, mającego pretensje uchodzić za polityka realnego...

Gdybyż przynajmniej Białoruś Zachodnia w turnieju białoruskiej myśli politycznej świeciła tylko swą nieobecnością, nie mając odwagi, do wypowiedzenia tu *swojego* słowa!..

Byłaby to połową nieszczęścia...

Jest jednak nierównie gorzej, bo Białoruś Zachodnia na szlaku, którym kroczą myśl i akcja białoruska, najwyraźniej została zepchnięta, wzgardzona, zdeptana... Ślepy tego niewidziałby! Osobiście wcale nie chcemy posądzać o złą wolę względem Białorusi Zachodniej pionierów ruchu białoruskiego od r. 1905 naogół i rzeczników Białorusi Wschodniej, (większej obszarem i ludnością, a odrębnym wyznaniem i duchem) w szczególności, owszem gotowiśmy raczej szukać winnych, o ile tacy mogą tu być, wśród tych, co ciałem i duchem pochodząc z Białorusi Zachodniej, nie umieli dotychczas stać się konsekwentnymi rzecznikami jej potrzeb na forum spraw ogólnobiałoruskich i zmusić je do nierównie większego z nią się liczenia. Jeśli i były jakieś próby w tym kierunku, były one zjawiskiem nader rzadkiem i dlatego pozbawionem większego wpływu.

Stąd jest jasnym, że bynajmniej nie zamierzamy stawiać kogoś w stan oskarżenia. Tembardziej, że dla altruizmu w świecie zagadnień i rozwiązań

politycznych zgoda niema miejsca, i nikt przecie nie mógł ani żądać, ani spodziewać się nawet iż ktoś ze strony specjalnie się zajmie potrzebami duchowymi Białorusi Zachodniej i robi za nas to, cośmy, jako jej dzieci, sami zrobić powinniśmy byli! Cały tedy artykuł zwracamy przeto nie do wschodu, lecz do zachodu, do *siebie samych*.

Ale czy nie wyolbrzymiamy różnic między Białorusią Zachodnią a Wschodnią? Odpowiedzia niech będzie szereg faktów ogólnie znanych i nie dających się zaprzeczyć:

1) Białoruś Zachodnia jest *rzymsko-katolicką* i gorącym przywiązaniem do Kościoła dotąd nie dała się wyprzedzić ani Litwie, ani Polsce.

2) Białoruś Zachodnia, jako katolicka i sąsiadująca bezpośrednio z narodami Europy Środkowej, zawsze się orjentowała i orientuje *bardziej na łaciński Zachód* niż na bizantyńsko-rosyjski Wschód.

3) Białoruś Zachodnia, będąc katolicką i o ile była unicką, stale się posługiwała w swym piśmiennictwie *alfabetem łacińskim*, do dziś w tem przywiązaniu nie osłabła ani trochę i uważa wszelką nawet dyskusję o zmianie swego alfabetu na inny, lub uszczupleniu praw jego za niewłaściwą.

4) Białoruś Zachodnia, jak ongiś w osobie swych synów czerpała oświatę i natchnienie do pracy na wszechnicach Europy Zachodniej (Padwa, Wenecja, Praga, Kraków), tak zamierza i dziś szukać ich tam, a nie w Moskwie, Kijowie lub chociażby mocno zruszczonym i czerwonym Mińsku.

5) Białoruś Zachodnia bardzo niechętnie widzi w białoruskiej mowie książkowej *nowotwory* rodem ze... Smoleńska, z czem, niestety, idzie w parze lekceważenie doskonałych źródłosłowów miejscowych.

To są większe a ważniejsze różnice.

Należy przytem zaznaczyć, że alfabet łaciński ma dziś wzięcie nawet w dalekiej Japonji, a niedawno sprawę wprowadzenia jego omawiano też w Sowdepji. Dlatego zgoda nie na czasie jest unifikacja alfabetu białoruskiego na wyłączną korzyść grażdanki, a już groteskowo wyglądał projekt p. W. Ła-

nie jest skomplikowaną, oraz autorowi, skądinąd świetnemu lirykowi, niezbyt się udało uporać z nową dlań formą dramatyczną. Walorem zaś sztuki, którą sam autor bezpretensjonalnie nazywa „scenami z życia szlacheckiego“, jest barwnie odmalowane tło życia zagrodowego.

„Modny szlachetka“ Kahańca również dzielnie spełnia swoje zadanie, zaspakajając częściowo ówczesny głód repertuarowy.

Jak Kupala w osobie swego Adolfa z „Paulinki“, tak też Kahaniec w Franciszku z „Modnego szlachetki“ pragnie ośmieszyć pięcie się do wyższego stanu, pogardę swej mowy ojczystej — białoruskiej i usiłowanie posługiwania się dla dobrego tonu kiepską polszczyzną. W jednoaktówce Kahańca Franciszek przybywa w konkury do córki gospodarza wioskowego Hanny, której oraz jej środowisku stara się zaimponować nieudolnym posługiwaniem się jęz. polskim. Oczywiście zamiary jego spełniają na niczem i rękę Hanny zdobywa konkurent szczęśliwszy, Ignas. Sztuczka Kahańca jest zbudowana dość zgrabnie z wiernym zachowaniem kolorytu białoruskiego, nie pozbawioną jest jednak pewnych wulgaryzmów w końcowej scenie.

Wieści o białoruskich przedstawieniach tygodnik „Nasza Niwa“ zanoszą na najdalszą prowincję

i tam również organizują się wieczorynki, których program poza przedstawieniem teatralnym uzupełniają śpiewy chóralne i budząca ducha deklamacja patriotycznych wierszy młodych poetów białoruskich.

W r. 1911 wyjeżdża na prowincję pierwszy wędrowny teatr białoruski pod dyrekcją Bujnickiego. Ignacy Bujnicki, właściciel niedużego folwarczku, szczerze oddany sprawie odrodzenia białoruskiego, wielki miłośnik białoruskich tańców ludowych i sam zawołany tancerz, — mobilizuje swą liczną rodzinę, uzupełnia swój zespół dramatyczny siłami amatorskimi z Wilna i, po wielkich trudach uzyskawszy pozwolenie ówczesnej władzy rosyjskiej, rusza ze swą trupą na prowincję, własną kieszenią subsydując tę teatralną imprezę. Przedstawienia białoruskie na prowincji budzą wielką sensację, tem bardziej, że trupa rozjeżdża ubrana w stylowe stroje ludowe i stara się trafić do miasteczek w dni festów, kiermaszów i wogóle większych zjazdów włościanstwa. Inteligencja małomiasteczkowa spotyka pierwszych sług białoruskiej Melpomeny ze sceptycznym uśmiechem na ustach, ówczesny zaś chłop nieświadomiony narodowo — z obawą, iż ci przybysze z miasta przyjechali naigrawać się z jego mowy „prostej“ i z jego prastarych zwyczajów-obyczajów.

Zrobiono jednak rzecz wielką. Skłócono sto-

słowskiego stworzenia na podstawie źródeł paleograficznych własnego alfabetu.

Przeciwnicy wypowiedzianych wyżej poglądów niechybnie zechcą powołać się zaraz na Pragę, jako namacalny niby dowód tego, że nie tylko od wpływów zachodnich nikt z nich nie stroni, lecz właśnie wśród nich ujawnia się duży pęd ku Zachodowi. Prawda, że skrajny rusofilizm Czechów i kwieterja (nie szczere sympatje) ich względem prawosławia mogą dziś wabić do *złotej Prahy* Białorusinów zachodnich, wyznawców prawosławia i ciężących ku Wschodowi, atoli muszą one również wzbudzać dobrze uzasadnione obawy w Białorusinach zachodnich, którzy, będąc katolikami i orjentacji zachodniej, nie mogą być zwolennikami skrajnego rusofilizmu i tendencji do utworzenia kościoła narodowego wśród Czechów. Praga dzisiejsza nie jest Pragą Skoryny. Bardziej świadomi a' przeczorni przedstawiciele Białorusi Zachodniej z pewnym więc niepokojem oczekują tego, co przywiezie z Prahy do kraju nasza młodzież katolicka, wrażliwa jak każda młodzież, a zmuszona przebyć nad Wełtawą szereg lat wśród wrogo dla Kościoła usposobionej czeskiej młodzieży akademickiej, wciąganej do grubej roboty sekciarskiej bądź przez episkopa serbskiego Dositeja, bądź przez biskupa cerkwi narodowej Farsk'yego. Z jak niestychaną lekkomyślnością wśród polityków i działaczy białoruskich w Wilnie traktowano prawie zawsze zagadnienia religijne Białorusi Zachodniej (na jej terenie przecie Wilno leży!) świadczy wśród innych fakt, że w r. 1918 *katolik* p. Wacław Łastowski wydał tu *Pieršyje malitwy i paznańnie chryścijanskaj prawasłaunaj wiery* (w dodatku drukiem łacińskim!), a drugi *katolik* p. Janka Stankiewicz — *Abjaśnieńnie symwoła wiery, malitwau i zapawiedziou* (graždanką). Czasu okupacji niemieckiej, politycy białoruscy w Wilnie o mało co nie dali się wciągnąć na pomocników prawosławnych w ponownym zdobywaniu cerkwi, przerobionych z kościołów katolickich (Wizytkil) Stąd można wywnioskować, jak są na miejscu zastrzeżenia, które mieć może i powinna Białoruś Za-

chodnia co do ogólnego kierunku polityki białoruskiej, chronicznie u nas chorej na *moskowski nachil* i ciągle kokietującej prawosławie.

To, co dotychczas zostało zrobione w imię odrębnych potrzeb Białorusi Zachodniej, jest nie tylko małe, lecz też częstokroć słabe. Weźmy *Bietarusa, Krynicę*, kalendarze białoruskie..., nie mówiąc już o wydawanym z hojności niemieckiej *Homanie* i ultra-ugodowej *Jednaści* p. Aleksiuika. Zarzut niedoceny doniosłości problemu Białorusi Zachodniej uczyniony być może nawet paru młodszym księżom Białorusinom, tym naturalnym strażnikom jej praw, bo i ich nieraz krewkość młodzieńcza ponosiła zbyt daleko, zasłaniając przed nimi będące w perspektywie niebezpieczeństwa.

Odnośnie do pięciu uwypuklonych wyżej różnic, postulaty Białorusi Zachodniej dają się ująć w tyłuż punktach:

1) Rdzenie katolicki charakter Białorusi Zachodniej powinien zostać nietknięty, owszem świadomość katolicka ma być tu pogłębiona przez oświatę katolicką, wolną jednak od wszelkiego cienia fanatyzmu.

2) Zaniechane być winny wszelkie, chociażby najmniejsze próby, przeszczepienia na Białoruś Zachodnią orientacji na prawosławno-rosyjski Wschód

3) Pełne, a wyłączne panowanie na Białorusi Zachodniej przysługiwać ma oczywiście alfabetowi łacińskiemu, przyczem bardzo pożądaną jest znajomość graždanki.

4) Niezbędną jest rzeczą dla rozwoju Białorusi Zachodniej utrzymanie ciągłości kulturalnej, nawiązanej w zaraniu jej dziejów z łacińskim Zachodem.

5) Leksykon Białorusi Zachodniej uzupełniany być winien doborem trafnych słów z poszczególnych odmian mowy jej ludu, a adopcja wyrazów, kursujących w Białorusi Wschodniej, dopuszczalną jest chyba w wypadkach wyjątkowych.

Nic łatwiejszego, jak tą drogą ściągnąć na siebie i swoich zarzut odseparowywania się i rozbijania

jącą wodę, rzucono w dusze nowy siew. Po jednym jednak letnim sezonie rozjazdów teatr Bujnickiego kończy swą działalność.

W Wilnie powstało „Kółko Muzyczno-Dramatyczne“, które pracuje nadal, zorganizowawszy chór i stały zespół dramatyczny. W r. 1913 wystawiono w Wilnie w sali „Filharmonja“ po raz pierwszy od czasów Marcinkiewiczowskich „Zaloty“. Sceny pisane po polsku zostały przetłumaczone na jęz. białoruski celem nadania utworowi jednolitości językowej i ułatwienia wystawienia sztuki. Wiele pracy w tę premierę włożył zmarły w ubiegłym roku w Mińsku Aleksander Burbis. Brak muzyki do „Zalotów“ uzupełniła Marja Kimontowa (również zmarła w ub. roku w Wilnie).

Aż oto wybuchła wojna, znacznie przerzedzając szeregi białoruskich pracowników: młodzież — element najbardziej ruchliwy, entuzjastyczny, ofiarny — obcy mus powołał pod karabin, innych wygnała z Wilna zawierucha wojenna, a ponadto drugi rok wojny przynosi ze sobą przepołowienie Białorusi linją frontu, co też fatalnie się odbija na pracy, rozczłonkując siły kulturalne i pozbawiając je wzajemnego kontaktu.

Narazie w Wilnie wszelka białoruska praca kulturalna zamiera. Niebawem jednak znów się roz-

poczyna przzerwana robota teatralna. Zamiast dawnych pracowników zjawiają się nowi, wskrzesza swą działalność „Kółko Muzyczno-Dramatyczne“. Pomimo okropnych warunków ekonomicznych, jakie wytworzyła w Wilnie okupacja niemiecka, praca od razu zawrzała rażno, chociaż nikt z pracowników nie czerpał z niej najmniejszych korzyści materialnych. Była to praca *par excellence* ideowa. Stary repertuar już nie wystarcza. Ukazują się (z pod pióra autora niniejszego zarysu) sztuki następujące: „Na Antokolu“, „Na wiosce“, „Butrym Niamira“, „Mańka“, „Kaliś“ („Niegdyś“) i in. Przedstawienia odbywają się na scenie klubu białoruskiego; od czasu do czasu zaś organizatorzy zdobywają się na szerszy rozmach i przenoszą scenę do gmachu pocyrkowego, który wówczas był przystosowany do przedstawień teatralnych i posiadał największą w Wilnie widownię. Tutaj też po raz pierwszy ujrzała światło kinkietów sztuka „Na Antokolu“, (26.XII.1916) ciesząca się wielkiem powodzeniem u publiczności. (Gmach cyrku na Placu Łukiskim obecnie jest zniesiony). Co pewien czas też odbywały się przedstawienia w klubie b. Poleskim, przy ul. dawn. Chersońskiej.

Jedności Nie trzeba jednak go lękać się, lecz i nieugięte stać przy tem, czego od nas wymaga dobro Kościoła i ściślejszej naszej Ojczyzny — Białorusi Zachodniej. Nie zapominajmy, że jesteśmy odpowiedzialni za jej losy!

Zróznicowanie wyjdzie ostatecznie na pożytek całej Białorusi, bo zmusza ono obie jej części, Zachodnią i Wschodnią, do *maximum* wysiłków, przytem wcale nie wyklucza możliwości syntezy w przyszłości.

Jednak w chwili obecnej na tę syntezę stanowczo *zawczasnie!*

Wł. T.

## Ks. Muckermann o Rosji.

Czytelnikom zamiejscowym może być obcem to dobrze znane Wilnu nazwisko, więc naprzód kilka słów o tym, kto je nosi.

W ostatnim roku okupacji Wilna przez wojska niemieckie, przybył doń odkomenderowany z południa Grodzieńszczyzny kapelan wojskowy armji niemieckiej, jezuita, ks. Fryderyk Muckermann. Niezwykły talent krasomówczy, pewna znajomość języka polskiego i bardzo ujmujące obejście zjednały mu wkrótce sporo szczerzej sympatji wśród inteligencji wileńskiej, bez względu na rozbieżność jej przekonań i przynależność narodową. Trzeba tu podkreślić, że ks. Muckermann bynajmniej się nie zasklepił w jakiejś jednej koterji, lecz utrzymywał równie dobre stosunki tak z Polakami (był prelegentem na zorganizowanych kursach uniwersyteckich w Ognisku), jak z Litwinami (częstym był gościem w domu pp. Smetona) i Białorusinami (w szczególności bliskim kontakcie pozostawał ze znanym patriotą białoruskim, ks. Romejką). Już wtedy znajomi ks. Muckermanna wiedzieli, że jest utalentowanym poetą, drukowanym w Niemczech w różnych wydawnictwach periodycznych, i bratem też jezuity ks. Hermana, który szeregiem prac naukowych, poświęconych problemom rasowym i biologiczno-higienicznym, zdobył dziś imię w całych Niemczech.

Atoli ks. Fryderyk wpisał swe nazwisko złotemi literami w roczniki historii grodu Gedyminowego czem innym. Jemu Wilno zawdzięcza, że wnet po fatalnym dla Niemiec dniu 9/XI 1918, odzyskało jeden z najpiękniejszych swych kościołów, na który przemoc carsko-prawosławna gwałtem nasadziła bizantyjską czapę. Zapewne, że i bez ks. Muckermanna władze polskie i ludność katolicka m. Wilna dokonałyby z czasem rewindykacji tej świątyni, niemniej fakt odzyskania jej dzięki zabiegom ks. M. słusznie urósł w oczach wilnian do rozmiarów *wielkiego symbolu*, niosącego otuchę sercom wymęczonym przeszło trzyletnią okupacją. Od tegoż czasu mniej więcej endecja wileńska rozpoczęła wywierać presję na ks. Muckermanna chcąc go zaprzążyć do rydwanu swej partyjnej roboty. Szczególnie silną była owa presja, gdy poczęła się formować *Liga Robotnicza św. Kazimierza*, która w myśl swego założyciela, wcale nie miała być szkołą rozpolitykowania ciemnej gawiedzi wileńskiej i wszczepiania jej szowinistycznej ciasnoty pojęć, co niestety przywieźli z sobą do Wilna Jezuiti galicyjscy posługujący się dziś pomocą w tem nawet Obstów. Najbliżsi współpracownicy ks. M. w Wilnie z r. 1919, jak ks. M. Piotrowski i in. pamiętają dobrze, jak obcesowo nastawała nań endecja, gdy rozpoczął wydawanie tygodnika dla ludu.

Potem zaszły szerzej już znane wypadki: bolszewicki rozkaz ks. Muckermannowi opuszczenia Wilna i kraju, pożegnanie katolickiego trybuna ludu z Wilnem, wynikłe stąd a trwające dwie i pół doby oblężenie kościoła przez bolszewików, wreszcie schwytańie i wywiezienie oblężonego. Dzięki zbiorowym wysiłkom, ks. Muckermann otrzymał w końcu możliwość wyjazdu z niewoli do Niemiec. Katolickie Wilno, chociaż bardzo długo łudziło się nadzieją ujrzenia go znowu, odtąd nie widziało go więcej. Jednak dobrze pamięta.

Mniej więcej przed rokiem zaczęto kolportować w Wilnie książeczkę pt. *ks. Fr. Muckermanna Wspomnienia z niewoli bolszewickiej Spółszczył (!) J. O.*, z podobizną autora na okładce. Ma to być „tłumaczenie nieco skrócone“, z opuszczeniem niektórych ustępów..., jednak trzymające się „jak najściślej tekstu“ oryginału niemieckiego, który ma tytuł podwójny: *Czy wy tego również chcecie? Przeżycia moje w bolszewickiej Rosji*. (Wyd. związku młodzieży katolickiej w Düsseldorfie). Już to, że przygodny tłumacz polski mówi, że dziełko *spółszczył*, — musi wywołać słuszne zastrzeżenie, w dwójnasób uzasadnione, jeśli się się weźmie pod uwagę, że ów tłumacz szeroko jest znany z *obrabaniania* dla celów endekich w Wilnie wiekowego arcybiskupa Hryniewickiego. Prawdę mówiąc, — każdego kto znał subtelny intelekt ks. Muckermanna, trochę musi zdziwić nadmiernie częste tu wymyślanie bolszewizmowi od szatanów, co przecie za argument ściśle branem być nie może. Nadto ks. M. w niejednym się myli, gdy opisuje to, co działo się wokół oblężonego kościoła, a czego oczywiście, będąc zamknięty wewnątrz, widzieć i wiedzieć dokładnie nie mógł.

Dziś Ks. Muckerman mieszka w Bonn (Niemcy) i redaguje znany z wysokiego poziomu miesięcznik literacki „Der Graal“.

Otóż w numerze styczniowym zamieszcza on artykuł p. t. *Aberland, Ostelbien und Morgenland*, gdzie we wstępie charakteryzuje kterunki umysłowe, nurtujące dziś społeczeństwo niemieckie. Przytaczamy to poniżej w tłumaczeniu prawie dosłownem:

„Przy zatrwajająco ciężkiej w Europie atmosferze i groźnych chmurach nad Rosją i Azją Mniejszą odbywa się na świecie olbrzymi proces dziejowy, godny być treścią tragedji Hebbła. Pękają więzy, które istniały tysiącolecia i kultura, pod naciskiem tragizmu narodów, usiłuje zatoczyć nowe, dalsze kręgi.

„Dostojewskij w *Wielkim Inkwizytorze*, ostro jeszcze oddzielając Zachód od Wschodu, myślą swą ujął różnice ich linii historycznych, z których jedna się kończy w Rzymie, druga biegnie do Bizancjum. Przenikliwie dał on wyraz tęsknocie Rosji za cieśninami Dardanejskimi, bowiem bajecznie kolorowe kopuły i najodleglejszych cerkwi rosyjskich są swistem przypomnieniem Hagia Sophia. Lecz poprzez to marzenie prorok widział coś większego: białego rosyjskiego Chrystusa, skierowującego się ku Zachodowi, wzywając „cmentarz — Europy“ ku zmartwychwstaniu. Sołowjew, nadając tym wizjom precyzję filozoficzną i rozciągając je do Indyj i Chin, widzi przyszłe zadanie historii w zjednoczeniu Zachodu ze Wschodem. Ustępujący swą wielkością tak Dostojewskiemu, jak Sołowjewowi, Mereżkowskij próbuje sięgnąć dalej i kreśli fantastyczne kontury swej, często zawiedzionej i nierządno wpadającej w wielkie zwątpienia nadziei co do jakiejś nowej Rosji — Europy, — bogocześnego państwa wszechświatowego, mającego połączyć poddanie się słowiańskie z niemieckim

pedem do czynu. Jak widzimy, jest to zawsze tylko inny wyraz dla tej samej rzeczy.

„Świadomie czy nieświadomie, bolszewizm dopiął tego, że runęły zapory między Azją a Europą. Literatura rosyjska przenika do nas i bliski jest dzień, gdy będziemy tyleż wiedzieć w Dostojewskim co o Szekspirze, o Lermontowie co o Bajronie, o Tolstoju — ten już uzyskał dziś prawa obywatelstwa — co o jakimś klasyku niemieckim, o Bielińskim co o Wolterze.“

\* \* \*

Ks. Muckermann obdarzony jest rozległą skalą uzdolnień literackich: równie dobrze pisze artykuły krytyczno-literackie, jak też pełne polotu wiersze i opowiadania. Znakomicie redagowany *Jesuiten-Kalender für das Jahr 1923* podaje zajmujące, pełne aktualnych reminiscencyj, opowiadanie *Buben, der Krüppel. Eine Erinnerung aus Weissrussland*. Akcja się toczy na terenie pow. Słonimskiego (Słonim, Różana, Sielawice, a bohaterem jej jest pewien oporny, były unita, który przeszedł przez więzienną celę klasztoru Suzdalskiego.

Erka.

## Z mego notatnika.

### Jaki pan, taki kram.

Dziwna rzecz. Za czasów rosyjskich, gdy życie polskie w Wilnie biło słabem tętnem, gdy element polski był o wiele mniej liczny, prasa polska stała na wysokim poziomie i mogła rywalizować z pierwszorzędnymi organami warszawskimi i krakowskimi. Czy to „Kurjer Litewski“ za redakcji Czesława Jankowskiego czy „Dziennik Wileński“ pod kierownictwem J. Hłaski czy „Gazeta Wileńska“ wydawana przez Michała Römera — były to dzienniki, zakrojone na miarę stołeczną, bogate pod względem informacyjnym, obfitujące w pierwszorzędne artykuły publicystyczne, poruszające ciekawe i doniosłe zagadnienia aktualne i zasadnicze, starannie i umiejętnie redagowane pod względem literackim. A ile wychodziło tygodników i miesięczników!

Dziś, gdy polskość w Wilnie znacznie się wzmogła, gdy czytelnictwo o wiele szerzej się rozpowszechniło, jakże ubogo, wprost nędznie się prezentuje prasa polska! Trzy pisma codzienne: „Słowo“, „Dziennik Wileński“ i „Gazeta Wileńska“ przepelnione są jedynie przedrukami z gazet warszawskich i spóźnionymi a identycznie brzmiącymi komunikatami agencyjnymi. Rozpaczliwej tej szarzyzny i pustki nie ratują ani monarchiczno-imperjalistyczne łamańce *Cata* — ani ordynarno-kołtuńskie gładzenie Jota ani silenie się na dowcip Prola czy innego Cisa. Pomijam kwestję kierunku i poglądów politycznych, ale jakież poziom, jaka inteligencja, jaki zmysł dziennikarski!

Od kilku dni wspomniana trójca powiększyła się o nowy okaz. Przybyła Wilnu „Wileńska Gazeta Powszechna“ jeszcze uboższa pod względem treści, również niewybredna pod względem formy, a nader mało różniąca się pod względem kierunku. Zachwycający kwartet!

Bezstronność każe wyznać, że polskiemu kwartetowi godnie sekunduje rosyjskie trio. Mądry bę-

dzie, kto zrozumie na czym polegają różnice pomiędzy „Wileńskoje Utro“, „Wilenskaja Riecz“ i „Nowosti“. Wszystkie trzy zawzięcie rywalizują ze sobą, ale żadne nie posiada wyraźnego programu ani oblicza ideowego. Konkurencja o prenumeratorów i ogłoszenia, ale nie o zasady. Czyż można je porównać z przedwojennymi organami rosyjskimi, z którymi można było sympatyzować, ale których nie można było ignorować?

Ale jeżeli upadek prasy rosyjskiej daje się wytłumaczyć obniżeniem znaczenia w obecnych warunkach naszych pierwiastka rosyjskiego, to tem większe wymagania wolno stawiać prasie polskiej. Widocznie jednak czytelnik wileński nie odczuwa tych braków, boć każde społeczeństwo ma taką prasę, na jaką zasługuje.

### Zmierzch.

Gdy przed półtora rokiem ukazał się w Wilnie № 1 „Południa“, miesięcznika, wydawanego przez wileńskich artystów plastyków, na tem miejscu wyraziłem wątpliwość, czy tytuł pisma jest trafny, czy to, o czem myśli młode grono redakcyjne nie będzie raczej zachodem sztuki wileńskiej, aniżeli jej południem?

I nie omyliłem się. Jeżeli pierwszy numer pisma, mimo błędnych założeń artystów-wydawców, szukających natchnienia dla swej twórczości w „bujnym, stubarwnym życiu Polski współczesnej“, miał jeszcze jakieś piętno miejscowe i zdradzał pewne, chociaż nieśmiało usiłowania wykazania oryginalnych pierwiastków i odrębnych właściwości sztuki wileńskiej, to następne numery, ukazujące się zresztą w niezmiernie rzadkich odstępach, stawały się coraz bardziej bezbarwne i oderwane od tła, aż wreszcie numer czwarty, który świeżo wyszedł z pod prasy, prócz krótkiej notatki kronikarskiej o Wilnie, nie ma nic wspólnego nie tylko ze sztuką wileńską, ale wogóle z twórczością wileńską, gdyż cały niemal materiał jest pochodzenia pozamiejscowego i stanowi wymowne *testimonium paupertatis* Wileńskiego Twa Artystów Plastyków.

Było to do przewidzenia. Jeżeli się samemu niema nic do powiedzenia, to najlepiej wcale nie zabierać głosu. O zagadnieniach sztuki wogóle, a sztuki polskiej w szczególności oczywiście z większą kompetencją mogą rozprawiać głośni artyści i wytrawni krytycy warszawscy lub krakowscy, niż stawiający pierwsze kroki na tem polu malarze i rzeźbiarze wileńscy. Wydawnictwo ich miało by raczej bytu i wartość tylko wtedy, gdyby było wyrazem być może nawet nieudolnych, lecz szczerych wysiłków oparcia swej twórczości artystycznej na podłożu miejscowym, sięgnięciu w głąb szarego, smętnego życia naszego, wyzyskaniu swoistych motywów ludowych, zrozumieniu i ukochaniu krajobrazu litewskiego.

Ale do tego potrzeba nie tyle subsydjów pieniężnych i pomocy zzewnątrz, co owej „pracy męczeńskiej“, o której pisali wydawcy „Południa“ w słowie wstępnym, a której śladów jakoś dotąd nie widać.

### Bliskie i dalekie.

W pewnych kołach politycznych polskich odżyła znów idea solidarności słowiańskiej, zdawało się, zatopiona na długo, jeżeli nie na zawsze przez rzeki krwi, wylanej w ostatnich walkach polsko-rosyjskich.

i polsko-ukraińskich, oraz przez potoki żółci, wylanej w sporze polsko-czeskim.

Panslawizm w tej, lub innej formie nie wydaje się nam ruchem żywotnym, bo poczucie wspólności rasowej jest obecnie tak nikłe, że nie może służyć podstawą ani zbliżenia duchowego, ani porozumienia politycznego. O wspólnej polityce słowiańskiej, o wytworzeniu jednego frontu przeciw Niemcom, o co najbardziej, zdaje się, chodzi zwolennikom tej koncepcji, nie może być mowy, chociażby dlatego, że niebezpieczeństwo niemieckie bynajmniej nie wszystkim narodom słowiańskim zagraża w równej mierze, niektórym zaś nie grozi wcale. Antagonizmy narodowościowe wśród ludów słowiańskich nie są bynajmniej słabsze, niż przeciwieństwa między Polską, lub Czechami a Niemcami.

Towarzystwo Słowiańskie więc, które niedawno powstało w Warszawie, o ile będzie dążyło do tak iluzorycznego celu, nie znajdzie podatnego gruntu dla swej akcji i będzie musiało poprzestać na jałowych odezwach i czczych deklamacjach. Mogło by ono przynieść pewną korzyść realną jedynie szerząc w społeczeństwie polskim znajomość świata słowiańskiego, zapoznając je z dorobkiem kulturalnym poszczególnych ludów, ich przeszłością, stanem obecnym i aspiracjami na przyszłość. W pierwszym zaś rządzie T-wo Słowiańskie powinno się zająć Białorusinami i Ukraińcami, chociażby ze względu na najbliższą ich styczność z narodem polskim.

Ale jak dawny panslawizm rosyjski gorliwie się interesował Czechami i pobratymcami jugosłowiańskimi, pomijając starannie drażliwą kwestję polską i ignorując całkiem ruchy ukraiński i białoruski, tak również stawiający pierwszy kroki neoslawizm polski będzie propagował zbliżenie polsko-rosyjskie, dążył do pojednania polsko-czeskiego, lub może przeciwnie popierał separatyzm słowacki, będzie ubolewał nad antagonizmem bułgarsko-serbskim, lecz niechętnie poruszał zagadnienia białoruskie i ukraińskie, bo nacjonalizm jest silniejszy od sentymentów słowiańskich.

Weźmy chociażby „Kurjer Polski“, organ zbliżony do owych sfer słowianofilskich. Od dłuższego już czasu, w odstępach miesięcznych wydaje on dodatek p. t. „Życie Słowiańszczyzny“. Mamy tam mniej lub więcej szczegółowe wiadomości o Czechach, Bułgarji, Jugosławji, Bośni i Hercegowinie, ale darmo byśmy szukali najlżejszej wzmianki o Ukrainie lub Białorusi. A przecież chyba bardziej powinny interesować czytelnika polskiego ruchy narodowe białoruski i ukraiński, niż chorwacki lub słoweński! Lecz platoniczne sympatje względem bliższych lub dalszych sąsiadów nic nie kosztują, natomiast w stosunku do współobywateli trudno poprzestawać na słowach, wypada je poprzeć również czynem. A tego właśnie bardzo nie lubią teoretyczni zwolennicy „wielkiej i wolnej federacji wszechsłowiańskiej“.

Licz.

## Zażegnany skandal.

(Kartka z przeszłości Wilna).

Kalenbach i Pigoń, gdy podają szczegóły z życia Andrzeja Towiańskiego, z ożenieniem się jego załatwiają się nader krótko, wymieniając tylko osobę wybranki serca i datę ślubu. Jednak pewna dosyć

rzadką broszurą\*), wydana zagranicą, a niecenzuralna u nas za czasów carskich dla swej treści, którą stanowiły różne wypadki wileńskie z pierwszej połowy XIX w., dorzuca ciekawy szczegół do ożenku „Mi-strza“.

Po wyjściu w r. 1818 z uniwersytetu wileńskiego, Towiański zamienił scripta humanistyczne na tekę sądownika wileńskiego, atoli życie praktyczne nie przytłumiło w nim innych dziedzin niepospolitej jego duszy. Jako urodzony *Gottessucher*, wciąż snuje on myśl poświęcenia się *Sprawie* i odrodzeniu religijnemu ludzkości. Serdecznie się przyjaźni z Ferdynandem Guttem (Kalenbach pisze go *Gut*), młodszym kolegą uniwersyteckim Mickiewicza, wtedy jeszcze adeptem medycyny i wzniosłych hasel filiacji, a jednocześnie jednym z pierwszych towiańczyków na Litwie. (Ukończył on studia lekarskie z tytułem doktora medycyny w r. 1823).

To wszystko nie przeszkodziło obu młodzieńcom być wrażliwymi na wdzięki nadobnych wilnianek: Towiański i Gutt kochali się w dwóch rodzonych siostrach, Karolinie i Annie, córkach siodlarza lub, co prawdopodobniejsza, fabrykańta powozów Maksa, bo trudno przypuścić, by siodlarzówny mogły umysłowo dotrzymać pola dwóm tak edukowanym paniczom. Zresztą tym, mimo cały ich demokratyzm, chyba jeszcze do głowy nie przychodziła myśl eksperymentowania ze szczęściem małżeńskim na wzór Tetmajera lub Rydla. W każdym razie był to związek dusz istotnie osobliwy, może nawet *prakoło*, którego filiacją były późniejsze *koła* na emigracji. Trzeba wiedzieć, że panny Maksówny dały się porwać nowej doktrynie religijnej, głoszonej im przez usta kochanych ludzi. W tym oto momencie zaszedł wypadek, o którym to mówi nieznany autor wyżej wzmiankowanej broszury. Fakt, ten dokładnie oświetla stan umysłów tych dwojga par.

Stało się, iż Towiański i Gutt z córkami Maksa poszli do drogiego dla nich tyłu wspomnieniami, akademickiego kościoła św. Jana i tu w obliczu Przedwiecznego, podając nawzajem ręce, ślubowali sobie miłość małżeńską. I poczęli żyć ze sobą... Wypadek powyższy musiał wywołać głośnie echo i cały potok oburzenia i zgorzienia w cichem a pełnem cnót domowych Wilnie czasów Mickiewicza. Szczególnie musiał on dotknąć mieszczańską, lecz dbałą o honor rodzinę Maksa i czujny w takim razie kler wileński. Nie dziw tedy, że rychło się dowiedział o całym wypadku rządzący podówczas diecezją, biskup-sufragan Andrzej Benedykt Kłagiewicz (1828—1841), który załatwił sprawę z wielkim taktem. Jako były profesor uniwersytetu w Wilnie, znał chyba młodzież i dlatego za najstosowniejsze uznał wezwać do siebie obydwie pary. Udzieliwszy lojalnie przybyłym przestrogi pasterskiej, polecił dać im indult i ślub kościelny połączył te dwie pary dozgonnie. Ślub Towiańskiego odbył się w kościele św. Jana w dn. 17 lutego 1830 r. Kiedy i gdzie odbył się ślub Gutta — nie wiemy.

Związani wspólnością krwi i ideałów, Andrzejstwo Towiański i Ferdynandostwo Guttowie utrzymywali i nadal ze sobą bliskie obcowanie. Karolina Towiańska towarzyszyła wiernie swemu mężowi za granicą i tam zmarła w Zurychu 28 kwietnia 1878 r. O dalszych losach Gutta wiemy tyle, że umarł w Zurychu 26 grudnia 1871 r.

\*) Tytułu jej niestety nie pamiętam, notatka zaś odnośna gdzieś zaginęła. (*Frzyp. autora*).

Niejedno zapewne w tym wypadku dałoby się ustalić i uzupełnić, jeśliby ktoś wziął na się trud przejrzania archiwum konsystorskiego w Wilnie, gdzie przechowywane są indyktory z lat dawnych, oraz archiwów parafjalnych kościołów śródmieścia.

Jadźwing.

## Przegląd wileńskiej prasy żydowskiej.

(„Unzer Tog” o ruchu sjonistycznym. — Nieporozumienie. — Żydoznawstwo. „Wileńskiej Gazety Powszechnej”. — Z republiki wileńskiej.)

Z racji pobytu w Wilnie p. Nachuma Sokołowa, prezydenta wszechświatowej organizacji sjonistycznej „Unzer Tog” poświęca dłuższy artykuł ruchowi sjonistycznemu. Pismo składa hołd p. Sokołowowi, jako wybitnemu dziennikarzowi i jako jednej z najciekawszych postaci współczesnego żydostwa. Zaznacza jednak, że osoba p. Sokołowa, dokoła której narobiono tyle hałasu, jest tylko środkiem, służącym do zamaskowania wewnętrznego bankructwa oficjalnej polityki sjonistycznej.

Ruch zaś sjonistyczny organ demokracji żydowskiej ocenia w ten sposób:

„Istotnie były czasy, gdy sionizm był zjawiskiem postępowym w życiu żydowskim. Wzmacniał on bowiem uczucia narodowe Żydów i nawoływał do czynnego udziału w życiu społecznym.

„Ale czasy te należą już do przeszłości. Z chwilą, gdy nieodpowiedzialni wodzireje i urabiacze polityki sjonistycznej, zaczęli wyzyskiwać sionizm w celu opanowania pozycji w negowanej przez nich i znienawidzonej djaspcrze”, sionizm stał się twierdzą, w której zabarykadowały się wszystkie reakcyjne i ciemne elementy naszej społeczności.

Pod masą sjonizmu prowadzona jest wojna krzyżowa przeciwko językowi żydowskiemu i popierane zostaje żydowskie czarnoseciństwo. Z chwilą gdy pod maską sjonizmu wprowadzone zostaje do polskiego czy litewskiego Sejmu „Kolo” asymilatorów, speku antów, wrogów ludu, sionizm staje się siłą ciemną i musi być zwalczany przez tych, którym drogą są żywotne sprawy narodu”.

„Unzer Frajnd” wypełnia całe szpalty sprawozdaniami o każdym niemal ruchu p. Sokołowa, dostarczając w ten sposób łatwego materiału do drwin ze strony dziennika obozu przeciwnego. Między innymi „Unzer Frajnd” podaje, że p. Stefan Mickiewicz, jako przedstawiciel wileńskiej demokracji polskiej witał na dworcu p. Sokołowa.

Organ sjonistów wileńskich widocznie nie rozumiał naszej wzmianki o nieukazywaniu się od dłuższego czasu na szpaltach tego pisma artykułów z pod pióra d-ra Wygodzkiego i mylnie ją wytłumaczył, jako wiadomość o całkowitem jego wycofaniu się z szeregu współpracowników „Unzer Frajnd'u”. Wobec błędnej interpretacji naszej wzmianki, rzecz prosta, komentarze i uwagi „Unzer Frajnd'u” pod naszym adresem stają się bezprzedmiotowe.

„Unzer Tog” wydrwiwa „żydoznawstwo” nowego pisma „Wileńskiej Gazety Powszechnej”. Specjalistą od „spraw żydowskich” w tym „demokratycznym” organie jest p. Ro, który zupełnie nie orientując się w zagadnieniach, jakie porusza, wykazuje swoje nieuctwo. Szczytem ignorancji jest jego podział Żydów na dwie kategorie: Żydów-sjonistów, jako lojalnych obywateli i Żydów walczących o prawa języka i kultury żydowskiej jako wrogów Państwa Polskiego.

Ukazała się jednodniówka p. t. „Jungt Gedank”, poświęcona zagadnieniom socjalistycznego ruchu młodzieży. Pismo to reprezentuje kierunek najbardziej umiarkowany w socjaliźmie. Z rozporządzenia jednak władz zostało skonfiskowane, a redaktor pociągnięty do odpowiedzialności.

Miecz. Gold.

## Od Administracji.

Sz. odbiorców naszego pisma, którzy nie opłacili prenumeraty z góry, prosimy uprzejmie o nadesłanie należności za kwartał ubiegły. Stosownie do zmiennych cen za poszczególne numery wynosi ona 2000 mk.

## Książki nadesłane do Redakcji.

Janowski Czesław. *Z dnia na dzień*. (Warszawa 1914 - 1915 Wilno). Wydawnictwo K. Rutkowskiego w Wilnie. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa i S-ki w Wilnie, 1923.

Klimas P. *Litwa starożytna*. (Tłum. z litewskiego). Wyd. „Nowin Wileńskich”. Wilno, 1921.

Janowski Jarosław. *Siejba tęczy*. Warszawa, 1923.

G. Leliwa. *Projekt naprawy skarbowości polskiej*. Wydanie Unji na odowo-państwowej Warszawa 1923.

Baudouin de Courtenay J. *Tolerancja. Równouprawnienie. Wolnomysłcielstwo. Wyznanie paszportowe*. Biblioteka stowarzyszenia. Wolnomysłcieli Polskich. Warszawa 1923 r.

## Treść numeru:

Doraźny zysk. — *Wł. T.* Problem Białorusi Zachodniej. — *Erka.* Ks. Muckerman o Rosji. — *Licz.* Z mego notatnika. — *Jadźwing.* Zażegnany skandal. — *Miecz. Gold.* Przegląd wileńskiej prasy żydowskiej. — *Odcinek: Fr. Alechnowicz.* Teatr białoruski.

Do numeru niniejszego dołączony jest dodatek z artykułem T. Woronicza: *Zagadnienie autokefalji Cerkwi prawosławnej w państwie Polskiem.*



# Dodatek do Nr. 6 „Przeglądu Wileńskiego”

z d. 25 marca 1923 r.

## Zagadnienie autokefalji Cerkwi prawosławnej w państwie Polskiem.

Zagadnienie powyższe poruszane było dotychczas przez publicystykę polską w sposób wysoce naiwny, zdradzający zupełną ignorancję zasad i dążeń Kościoła Wschodniego. Jeżeli jednak sprawę tę dla informacji szerokiego ogółu porusza b. minister wyznań i przedstawia ją nie tylko niezgodnie z podstawowymi zasadami prawa kanonicznego Kościoła Wschodniego, ale również przedstawia bezwzględnie fałszywie ze strony faktycznej, to nie wiemy jak to objaśnić, czy to przypisać li tylko ignorancji ministra, czy też dążeniu do przedstawienia sprawy w skazanej postaci. Takie mianowicie wrażenie sprawia ogłoszony w № 34 dziennika „Czas” z dnia 14 lutego b. r., wywiad z b. ministrem wyznań, p. Kumanieckim.

Tragedja życia wewnętrznego Cerkwi prawosławnej w Polsce polega nie na objawach ucisku, ale głównie na wtargnięciu, wbrew konstytucji, władzy świeckiej do organizacji tego życia, przez wydawanie systematyczne szeregu zarządzeń, ustanawiających władze kościelne w sposób wręcz niekanoniczny i nieprawny i stosowanie do władcyków, niechających się zgodzić na przyjęcie przepisów niekanonicznych, nieprawnych i sprzecznych z konstytucją represyj. Podobne postępowanie władz ludzko przypomina działalność wielkorządców carskich Kaufmana i jego następców oraz forytowanie niekanonicznego rządcy djeceji Wileńskiej Piotra Żylińskiego i dzikie represje względem jego przeciwników. Nie można również niedojrzeć analogji z działalnością rządu sowieckiego, który uwięził kanonicznego patriarchę Tichona i forytuje dziwaczną i niekanoniczną cerkiew „czerwona”.

P. Kumaniecki rozpoczynając opowiadanie od r. 1919 chwali rząd polski za przywrócenie parafij prawosławnych w Chełmszczyźnie i Podlasiu, przyjmując po 4000 do 5000 dusz na parafię, nie mówi jednak o tem, że z 330 parafji zamknięto 302 i nie tłumaczy, jaka ustawa upoważniła rząd do narzucania cerkwi normy dla wiernych w parafji, przytem normy nie stosowanej do innych wyznań. Przecho-

dząc następnie wprost już do mniemanej autokefalji, p. b. minister pomija milczeniem, że w 1919 r. z inicjatywy Zarządu Ziemi Wschodnich został wypracowany i przedstawiony do ministerjum projekt urządzenia Cerkwi Wschodniej. Projekt ten przewidywał nie ogłoszenie nowej autokefalji, lecz wznowienie dawnej autokefalji Witoldowej Litewsko-ruskiej, ogłoszonej przez sobór cerkiewno-narodowy w r. 1414 i stwierdzonej przez wyświęcenie Grzegorza Camblaka w r. 1415, która to autokefalja nigdy kanonicznie przez sobór zniesiona nie była. Bo po odpadnięciu Kijowa od Polski poddanie metropolity Gedeona w r. 1698 patriarsze moskiewskiemu było tylko aktem jednostronnym władz moskiewskich i Konstantynopola. Dla wznowienia tej autokefalji nie potrzeba było ani pertraktacyj z patriarchą Tichonem, ani zgody innych cerkwi autokefalnych, wystarczała uchwała soboru cerkiewno-ludowego. Projekt ten został jednak odrzucony, ponieważ sfery miarodajne znalazły, że „z popami nam łatwiej”. Zaczęto przeto poszukiwać władcy, któryby się nie krępował skrupułami kanonicznymi i zgodził się być narzędnym powołnym w ręku władz świeckich. Próbowano nakłonić w tym celu władcy Litewskiego Eleuterego, a potem administratora wówczas warszawskiego, a tytularnego władcy Białostockiego Włodzimieza, w obydwu jednak wypadkach bezskutecznie. Zaczęto przeto rozglądać się poza granicami kraju i wkrótce, dzięki pomocy pana K. Skirmunta, osobnik potrzebny został odnaleziony.

Jerzy (Jaroszewskij), rodem z Podola, był w r. 1918 arcybiskupem charkowskim, w r. 1918 emigrował zagranicę; ponieważ nie miał środków utrzymania, przeto władcy Eulogjusz, administrator cerkwi prawosławnych zagranicą, polecił mu administrację cerkwi we Włoszech. Nieliczne te cerkwie były utrzymywane wyłącznie z datków zamieszkałej we Włoszech emigracji rosyjskiej. Władcy Jerzy znany był za czasów carskich, jako zwolennik Rasputina i był o tyle nietaktowny, że rozjeżdżał po Włoszech w towarzystwie osławionego awanturnika, dawniej pro-

tektora Rasputina, kniazia Żewakina, czem ostatecznie zdyskredytował siebie w oczach emigracji rosyjskiej, skutkiem czego ta odmówiła dawania mu pieniędzy. Wówczas władyka Jerzy pozbawiony środków materialnych, a świadomy zabiegów rządu polskiego, udał się do p. Skirmuntą w Rzymie z propozycją swoich usług. O porozumieniu p. Skirmunta z rządem polskim, zaproszony do Polski przybył do Warszawy w lipcu 1921 roku i odtąd, pomimo, że był obcokrajowcem i z cerkwią miejscową nie miał nic wspólnego, stał się spiritus movens cerkwi i ślepem narzędziem w ręku istotnych organizatorów cerkwi prawosławnej w Polsce: naczelnika wydziału wyznań „innych“ p. Strzałkowskiego i naczelnika departamentu wyznań p. Piekarskiego, wzamian za co uzyskał więcej niż dostatanie utrzymanie. Nie mógł o tem wszystkiem niewiedzieć p. Kumaniecki, pozwolił sobie jednak wyrazić się w wywiadzie: „do Polski przybył — o ile wiem z Włoch arc. Jerzy“, zamilczając, że przybył zaproszony przez rząd polski.

Niewzłocznie po przyjeździe władyki skasowana była istniejąca w Warszawie rada cerkiewna, administrator eparchii Włodzimierz został przeniesiony do Grodna, a administrację eparchii Warszawskiej objął niekanonicznie władyka Jerzy. Kanonicznym władyką Warszawskim był wówczas władyka Serafin (Cziczagow), który wcale Jerzego zastępcą swoim nie mianował.

Pierwszą czynnością władyki Jerzego było ułożenie memorjału dla patriarchy o wprowadzenie autokefalji cerkwi w Polsce. P. Kumaniecki fałszywie nazywa ten memorjał „podaniem zbiorowem biskupów“. W państwie polskim było wówczas pięciu biskupów prawosławnych: Djonizy (Waledziński) władyka Krzemieniecki, administrator polskiej części eparchii Wołyńskiej, Pantelejmon (Paweł Rożnowski) władyka Piński, Eleutery (Bogojawlenski) władyka Litewski, Sergiusz (Korolew) władyka Bielski, administrator eparchii Chełmskiej i Włodzimierz (Tichonickij) władyka Białostocki, administrator eparchii Grodzieńskiej. Z pomiędzy nich podpisał memorjał tylko Djonizy, Pantelejmon cofnął swój podpis niezwłocznie (wkrótce potem pozbawiony został zarządu eparchją i osadzony w monasterze), podpis autora memorjału Jerzego nie miał znaczenia, albowiem nie należał on do episkopatu polskiego i kanonicznie nie miał prawa głosu na konferencji biskupów miejscowych. Pozostali władcy nie tylko, że memorjału nie podpisali, ale nie wiedzieli o jego istnieniu, gdyż memorjał był ułożony w tajemnicy przed nimi — zaś na konferencję wezwani nie byli. Przeto memorjał był podaniem tylko Djonizego, a nie zbiorowem podaniem biskupów.

Twierdzi dalej — niezgodnie z rzeczywistością p. Kumaniecki, że patriarcha Tichon utworzył egzarchat i zamianował Jerzego metropolitą *polskim*, dekretem z d. 17 stycznia 1922 r. W istocie rzecz się miała w sposób następujący: 28 września 1921 r. pod № 1424 przysłany został władcy Jerzemu dekret Synodu patriarchalnego tej treści: Wobec niemożności przyjazdu do Warszawy władyki Warszawskiego Serafina *czasowy* zarząd eparchją warszawską polecić władcy Jerzemu i mianować go egzarchą patriarchy w państwie polskim. Dekret ten został za-

tajony w swej autentycznej treści przez władkę Jerzego, gdyż nie chciał on, aby inni biskupi wiedzieli, że jego nominacja ma charakter czasowy; zawiadomił więc biskupów krótko o swojej nominacji listem własnym.

30 stycznia 1922 r. wydany został dekret Synodu pod Nr. 53, w którym po raz ostatni władyka Jerzy nazwany jest egzarchą w Polsce. W dekrete tym powiedziano, że wobec rezygnacji arcybiskupa warszawskiego Serafina, zostaje mianowany władyka Jerzy władyką warszawskim z tytułem metropolity i poleca się mu czasowe zarządzanie eparchją Chełmską (o zarządzaniu dalszem wszystkimi cerkwiemi w Polsce w charakterze egzarchy już niema mowy).

Tegoż 30 stycznia 1922 r. wydany został dekret synodalny pod Nr. 84 na imię już tylko metropolity Jerzego (bez nazywania go egzarchą i bez dodatku wszystkich cerkwi prawosławnych w Polsce). Dekret ten komunikuje Jerzemu, że wypracowany został projekt „położenia ob uprawleni prawosławnoju cerkowju w Polskom gosudarstwie“ i że projekt przesłany został rządowi polskiemu dla aprobaty i wprowadzenia go w życie, metropolicie zaś przesyła się w odpisie „dla wiadomości“ (a nie dla wykonania).

Aprobata rządu nie nastąpiła, więc projekt pozostał li tylko projektem. Jednak władyka Jerzy pozwolił sobie sfałszować ten projekt, wyrzuciwszy zeń paragrafy dla niego niedogodne, bo ograniczające jego władzę, a mianowicie: § 3 o stosunku do patriarchy, § 6 o zależności metropolity od soboru, § 7 o wyższym organie zarządu cerkwi wybieralnym przez sobór i t. p. i ten okaleczony projekt pozwolił sobie rozesłać władkom eparchjalnym nie jako projekt, ale jako ustawę podlegającą niezwłocznemu wykonaniu, przy piśmie okólnem z dnia 7 marca 1922 r. pod Nr. 239 i w piśmie tem odrzucenie wykreślonych paragrafów składał na karb rządu polskiego. Niedorzeczne kłamstwo ostatniego twierdzenia jest wyraźne, gdyż rząd, nie aprobując częściowo przesłanego mu projektu, odesłał był go posłowi w Moskwie dla dalszych pertraktacji; że to robił sam Jerzy, dowodem tego może służyć fakt, iż w dwu egzemplarzach tej ustawy, przesłanych władkom w Wilnie i Grodnie tekst był niejednakowy: wyrzucone i postawione paragrafy w obydwu egzemplarzach były odmienne.

Z powyższego jest jasnym: 1) że od dnia 30 stycznia 1922 r. władyka Jerzy był jedynie władyką Warszawskim, z tytułem metropolity 2) że od dnia tego przestał być egzarchą patriarchalnym 3) że prawa metropolity wszystkich cerkwi prawosławnych w Polsce były uzależnione od aprobaty przez rząd polski projektu „Położenia“, naturalnie bez zmian, która to aprobata nie nastąpiła wcale, 4) że przeto metropolicie Jerzemu nie przysługiwało żadne prawo kanonicznego zwierzchnictwa nad innymi władykami.

Dalej niezgodnie z prawdą przedstawia p. Kumaniecki genezę „przepisów tymczasowych“, ogłoszonych w Monitorze Polskim z dnia 16 lutego 1922 r. Przepisy te opracowane były w ministerjum przy udziale władyki Jerzego, w tajemnicy przed innymi władykami. W styczniu 1922 r. władcy zostali niespodziewanie wezwani telegraficznie przez ministra

do Warszawy. Przybyło pięciu włądyków — (włądyka Sergjusz nie był wcale zaproszony). Ogłoszono im, że zostali zwołani dla zatwierdzenia „przepisów”. Ep. Eleutery, przeciwnik przepisów, chociaż wezwany, został z Soboru usunięty pod pozorem, że jest włądyką obcego państwa „Litwy Środkowej”, chociaż większa część jego eparchji obejmowała ziemie poza granicami dominium Litwy Środkowej, należące bezpośrednio do Polski. Z pozostałych włądyków dwaj: Jerzy i spółnik jego Djonizy, podpisali „Przepisy”, dwaj zaś pozostali: Włodzimierz i Pantelejmon, odmówili podpisów, uzasadniając odmowę tem, że przepisy ignorują całkowicie patriarchę, że gwałcą szereg przepisów prawa kanonicznego, że wbrew temu prawu zaprowadzają faktycznie autokefalia bez uchwały Soboru cerkiewno-ludowego, że wreszcie przepisy te są wyraźnym pogwałceniem konstytucji polskiej, oddają bowiem cerkiew prawosławną w zupełną i poniżającą zależność od władzy świeckiej. W dni kilka potem Pantelejmon został pozbawiony prawa zarządzania swoją eparchją i osadzony w monasterze, jako więzieniu. Z powyższego widzimy, jak dalekim od prawdy jest oświadczenie p. Kumanieckiego, iż „Sobór uznał, że projekt „Przepisów” w niczem nie sprzeciwia się kanonom kościoła prawosławnego”.

Również niezgodnie z prawdą przedstawiona została przez p. Kumanieckiego sprawa ogłoszenia domniemanej autokefalji. W maju 1922 r. powołani zostali do Poczajewa włądykowie faktycznie rządzący w eparchjach. Przedtem jednak usunięto dwu niedogodnych dla metropolity Jerzego: Włądyka Pantelejmon był już osadzony w więzieniu klasztornej, włądyka zaś Sergjusz uprzednio mianowany przez patriarchę administratorem eparchji chełmskiej z pozbawieniem metropolity Jerzego zarządu tą eparchją, został 2 maja 1922 r. wezwany przez wojewodę do Lublina, tam aresztowany bez oświadczenia powodu i wysłany zagranicę do Czech.

Pomimo to i tym razem na konferencji włądyków nie udało się przeprowadzić autokefalji; za taką były tylko dwa głosy: metropolity Jerzego i włądyki Djonizego. Włądykowie zaś Eleutery i Włodzimierz głosowali przeciw na tej zasadzie, że sprawa autokefalji nie może być kanonicznie rozstrzygnięta przez samych włądyków bez roztrząsania tej sprawy na Soborze cerkiewno-ludowym lub przynajmniej na zgromadzeniach eparchjalnych. Żeby na przyszłość zabezpieczyć sobie większość metropolita Jerzy konsekrował na biskupa faworyta swego archimandrytę Aleksandra (Inoziemcewa rodem z Syberji) na tytularnego biskupa Lubelskiego i powierzył mu administrację eparchji Pińskiej.

Nominacja ta jest kanonicznie nieważną z powodów następujących: kanon 4 pierwszego Soboru ekumenicznego Nicejskiego, kanon 3 drugiego Nicejskiego, kanon 10 Kartagińskiego i kanon 19 Antiochejskiego Soborów ekumenicznych nakazują wyraźnie, aby nowi biskupi byli konsekrowani na Soborze biskupim lub przynajmniej za zgodą pisemną większości wszystkich nieobecnych biskupów danej prowincji, jeżeli zaś inaczej odbędzie się wybór i konsekracja biskupów, to takowe nie są ważne i nowokreowani za biskupów uważani być nie powinni.

Za nominacją archimandryty Aleksandra na biskupa dali swój głos tylko metropolita Jerzy i włądyka Djonizy, dwaj włądykowie: Eleutery i Włodzimierz, protestowali pisemnie przeciw temu wyborowi, a dwaj pozostali, chociaż kanoniczni włądykowie tej prowincji: Pantelejmon (uwięziony) i Sergjusz (wygnany) nie byli wcale powiadomieni i zapytani. Przeto nominacja Aleksandra na biskupa była niekanoniczną, udział jego w warszawskim zjeździe biskupów 14 czerwca 1922 r. był niekanoniczny, i głos jego na tym zjeździe za autokefalia nie miał żadnego znaczenia kanonicznego. Przeto wbrew twierdzeniu p. Kumanieckiego, autokefalia nie była uchwalona w Warszawie przez Synod biskupów. Uchwalili taką tylko dwaj włądykowie: Jerzy i Djonizy; dwaj inni włądykowie Eleutery i Włodzimierz wypowiedzieli się wyraźnie przeciwko decydowaniu tej kwestji przez samych wyłącznie biskupów i domagali się zwołania legalnego i kanonicznego Soboru cerkiewno-ludowego, toż zdanie wypowiedzieli wcześniej włądykowie Pantelejmon i Sergjusz.

Że najwyższą instancją kościelno-administracyjną winien być sobór cerkiewno-ludowy, to stwierdziły prace teologów i kanonistów na zgromadzeniu przedsoborowym, poprzedzającym sobór moskiewski, który przywrócił ustrój patriarchalny cerkwi rosyjskiej. Przykładów udziału duchowieństwa niższego, świeckiego i zakonnego, oraz osób świeckich w najwyższych instytucjach kościelno-administracyjnych zawiera historia kościelna mnóstwo od czasów najdawniejszych aż do naszych czasów. W soborach apostołskich, obok apostołów, brali także udział prezbiterowie i wierni z ludu (Dzieje Apostolskie r. 152), na pierwszym soborze ekumenicznym w Nicei odznaczył się szczególnie wpływem swoim djaakon Atanazy. W soborze Konstantynopolińskim r. 1450 brali udział, oprócz biskupów, archimandryci, ihumenowie, uczeni i inni pobożni mężowie świeccy. W dwunastu obecnie istniejących cerkwiach autokefalnych, to jest we wszystkich, oprócz cerkwi Helady (należącej do typu biurokratyczno-synodalnego dawnej carskiej cerkwi rosyjskiej) istnieje instytucja najwyższa do spraw kościelno-administracyjnych (a w niektórych nawet i sądowych), w której, obok biskupów, biorą udział delegaci od duchowieństwa, świeckiego i zakonnego, oraz przedstawiciele od wiernych świeckich.

Wybitny kanonista profesor o. Michał Gorczakow pisze o warunkach powstania cerkwi antokefalnych co następuje: podług powszechnie uznanych zasad prawa kanonicznego cerkwi prawosławnej, w każdym kraju, w którym lud, w skutek warunków politycznych, historycznych, narodowościowych, lub geograficznych, posiada możność i zdolność prawną do samorządu społecznego w sprawach Kościoła, ludowi temu przysługuje niezaprzeczone prawo *wyrażenia woli* organizacji samodzielnej cerkwi autokefalnej, — z tem jednak zastrzeżeniem, aby postanowienie podobne mogło się urzeczywistnić, należy uzyskać zgodę: 1) władzy tej cerkwi, z której się dana cerkiew wydziela, 2) władz pozostałych cerkwi autokefalnych i 3) władz państwa, w którym cerkiew autokefalna powstaje. Identyczne prawie zdanie

wypowiada znany kanonista i historyk Kościoła metropolita Makary.

Z powyższego widzimy, że dla powstania cerkwi autokefjalnej konieczną i miarodajną jest nie opinia samych hierarchów, ale wola ludności wyrażona, czy to na soborze z udziałem przedstawicieli tej ludności, czy też na zebraniach eparchjalnych, lub ludowych. Nie jest z tem w sprzeczności zacytowany przez p. Kumanieckiego jedyny w historii fakt ogłoszenia autokefalji Hellady na soborze w Nauplii przy udziale samych tylko biskupów, gdyż ogłoszenie to było tylko potwierdzeniem istniejącego wówczas nastroju całego społeczeństwa i wielokrotnie wyrażonej woli ludu na zgromadzeniach eparchjalnych i parochjalnych oraz wiecach ludowych. Fakt ten z uchwałą Warszawską władcyków Jerzego i Djonizego z dnia 14 czerwca 1922 r. nie ma nic wspólnego, gdyż uchwała ta nie tylko nie znalazła odzewu u ludności, ale przed i po tej uchwale nastąpił szereg sprzecznych z nią uchwał duchowieństwa i wiernych: 1) na zjeździe przedstawicieli wszystkich parochów w Polsce, odbytym w Warszawie we wrześniu 1921 r., 2) na zgromadzeniu kleru i wiernych eparchji Wołyńskiej, w Poczajowie w październiku 1921 r., 3 i 4) na zjazdach—zgromadzeniach eparchjalnych Litewskiem (w Wilnie) i Grodzieńskim, w czerwcu i lipcu 1922 r.,—uchwał, domagających się zwołania soboru cerkiewno-ludowego. W skutek przeszkód władz nie mogły wypowiedzieć swej opinii dwie jedynie najmniejsze eparchie: Chełmska i Pińsko-Nowogródzka.

Charakterystycznym jest, że o organizacji cerkwi prawosławnej w Polsce nie decydował i nawet nie był zapytywany nikt z ludności miejscowej, białoruskiej i ukraińskiej, a o wszystkim decydowali obcokrajowcy Rosjanie, a to zarówno zwolennicy jak i przeciwnicy projektów rządowych a mianowicie Jerzy Jaroszewskij, rodem z Podola, który nigdy w Polsce nie mieszkał, Djonizy Waledińskij z gub. Włodzimierskiej, Aleksander Inoziemcow z Syberji, Antonij Marcenko z Odessy, Eleutery Bogojawieńskij z Kurska, Sergjusz Korolew z Moskwy, wreszcie Pantelejmon (Paweł) Rożnowski, chociaż z ojca Polaka, Stefana Rożnowskiego, herbu Jastrzębiec, pochodzącego z powiatu Lepelskiego gubernji Witebskiej, przez matkę, Nadieżdę Korowin, Rosjanin i prawosławny, urodzony w Kostromie, przed przyjazdem do Polski władcyka tytułarny Dyneburski.

Z powyższego wynika, że jedyną normalną, zgodną z konstytucją polską i prawem kanonicznym, drogą było udzielenie pozwolenia na zwołanie Soboru cerkiewno-ludowego, złożonego z ludności miejscowej, zarówno duchownej jak i świeckiej. Urzędnicy jednak ministerjum wyznań woleli obrać inną drogę i ustalić organizację cerkwi prawosławnej w Polsce, wbrew konstytucji polskiej, z pogwałceniem zasad kanonicznych i z ignorowaniem woli ludności miejscowej, przy pomocy „popów” obcokrajowców, dobranych przez nich i urobionych w tym celu.

T. Woronicz.